

KERRY ANNE KING

POWIEDZ MI TO
SZEPTEM

Tytuł oryginału
Fighting Silence
Copyright © 2018 by Kerry Anne King
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2019
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Barbara Marszałek
Korekta:
Patrycja Siedlecka
Magdalena Zięba-Stępnik
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Przygotowanie okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-7889-918-1

KERRY ANNE KING

POWIEDZ MI TO SZEPTEM

Tłumaczenie
Justyna Spandel

OŚWIĘCIM 2019

*Dla Davida – mojego partnera, mojego najlepszego
i najbardziej zaufanego przyjaciela.*

*Szepnij mi to, mój skarbie, moja umiłowana.
Pieśń o blasku księżycy i gwiazd nad nami panorama.
Szepnij mi prawdę, miłość i szepnij konfabulację,
cieple dni zimy, zimne letnie niebios abstrakcje.
Szepnij mi złość, szepnij deszczu strapienie.
Szepnij mi kwiaty, a potem szepnij cierpienie.
Kiedy przychodzę umrzeć, kochać, wtedy szepnij mi do tego
kształt pamięci, prawdę pocałunku owego.
Szepnij mi, szepnij mi, szepnij mi do tego
całe życie wspomnień i pocałunku finalnego.*

**COLVILLE,
WASHINGTON**

1982

Rozdział pierwszy

Sypialnia rodziców zawsze była poza moim zasięgiem.

Nie żeby mi ktoś powiedział: „Nie wchodź do tego pokoju bez pozwolenia”. Na drzwiach nie ma znaku *Wstęp wzbroniony*. Lista zasad spisanych przez moją mamę i przyczepionych magnesem do lodówki nie mówi: „Trzymaj się z dala od mojej sypialni”.

Zasada dotycząca sypialni jest niepisana i nikt nie wspomina o niej na głos, jednak wiem, że istnieje, tak samo jak wiem, że niebo jest niebieskie, a trawa zielona. To jedna z tych rzeczy, które nie powinny wymagać wyjaśnienia.

Marley zna zasadę tak dobrze jak ja, ale ona nie dba o nią.

– To Zabronione Królestwo – mówi, ściskając moją dłoń. – Musimy być dzielne.

Dzisiaj udajemy, że jesteśmy odkrywcami gotowymi zaryzykować spotkanie z kanibalami, lwami, a nawet naszą matką, aby znaleźć ukryty skarb. Marley mówi, że jesteśmy nieustraszonymi poszukiwaczami przygód, ale ja jestem przerażona. Moje kolana śmiesznie się ruszają, a bicie serca słyszę w uszach. Kiedy kątem oka dostrzegam swoje odbicie w lustrze powieszonym nad długim, niskim kredensem, wyglądam jak małe dziecko, a nie jak odważna, wojownicza księżniczka w przebraniu.

– Może powinniśmy podbić jakieś inne ziemie? – szepczę, ale na Marley to nie działa.

– Zastanawiam się, co tam jest. – Macha ręką w stronę olbrzymich białych drzwi, które zajmują prawie całą jedną ścianę pokoju.

Biorę głęboki wdech.

– Nie możemy tam wejść.

– Oczywiście, że możemy. Potrzebujemy po prostu magicznego słowa, które będzie w stanie złamać zaklęcie plombujące. I nie myśl nawet o Abrakadabra lub Bibidi-bobidi-bu.

– To niezbyt dobry pomysł, Marley.

Patrzę przez ramię. Drzwi do sypialni są zamknięte, ale nie stanowi to żadnej bariery pomiędzy nami a rodzicielskim gniewem. Wstrzymuję oddech. Nasłuchuję kroków. Słyszę szum elektrycznego grzejnika w holu, wiatr poruszający drzewami za oknem, a także dźwięk telewizora, wyciszony ze względu na odległość.

Nieustraszona Marley kładzie rękę na drzwiach szafy. Nic się nie dzieje.

Nie ma żadnego elektrycznego świstu. Żadnej błyskawicy. Żadnego trzęsienia ziemi.

– Za tymi drzwiami kryje się Jaskinia Tajemnic – informuje. – Skarb czeka, przechowywany od dawna przez smoki. Musimy tylko powiedzieć magiczne słowo, a będzie nasz.

Rośnie we mnie ciekawość. Przez całe życie widziałam jedynie fragment tego pokoju. Dodatkowo zazwyczaj przez półotwarte drzwi. Przypomina mi on miejsce w kościele, gdzie stoi pastor, nieskazitelny i święty, i niedostępny dla dzieci.

Ciemne drewniane meble. Gigantyczne łóżko z idealnie gładką narzutą. Zasłony zawsze zasunięte. Moje własne małe ja odbite w lustrze, to jedyna rzecz nie na miejscu.

Co do tej szafy – może zawierać wszystko.

– No dalej, otwieraj – mówię, a cała moja ostrożność wyparuje z powodu nagłej potrzeby poznania prawdy. Cokolwiek kryje się za tymi drzwiami, jest ważne i niezbędne dla mojego przetrwania. Jestem tego pewna.

– Ty musisz to zrobić – rzuca Marley, cofając się.

Właśnie to mnie w niej wkurza. Ma najlepsze pomysły, ale gdy tylko udaje jej się wpędzić mnie w kłopoty, zawsze każe mi podjąć niezbędne działania. W ten sposób to ja ponoszę za to

konsekwencje, a ona – puf! – znika. Z pewnością znika po to, żeby uniknąć kary.

– Nie znam magicznego słowa.

– Oczywiście, że znasz – stwierdza.

I wtedy, w jednej chwili, już wiem. Ruszam do przodu, a moje stopy zatapiają się w dywanie. Z każdym krokiem małe kępki kremowych i szarych włókien łaskoczą moje palce. Z uniesionymi w powietrzu obiema rękami, jak na tym zdjęciu w mojej biblijnej książce o Mojżeszcu torującym drogę przez Morze Czerwone, ogłaszam:

– Przygoda! Przygoda to jest to słowo.

Ponownie wydaję się, że nic się nie dzieje, ale zakłęcie działa. Kiedy kładę rękę na drzwiach szafy, otwierają się niemal bezgłośnie, odsłaniając sekretne pomieszczenie, które wygląda bardziej jak sklep niż tajemne królestwo pełne skarbów.

Rzędy ubrań starannie wiszą na wieszakach, wszystkie ułożone według kolorów. Z jednej strony są koszule i marynarki. Z drugiej sukienki oraz bluzki. Na podłodze znajdują się buty. Pudełka są starannie ułożone, wszystkie zaklejone taśmą. Więcej przedmiotów jest ustawionych na półkach powyżej wieszaków na ubrania, zbyt wysoko, by móc je dosięgnąć lub chociaż wyraźnie zobaczyć. Mimo to rozpoznaję raketę do badmintonu. I stos prezentów zapakowanych w świąteczny papier.

Ostry zapach łaskocze mój nos.

Marley kłęczy w tylnym rogu garderoby, tuż przy części z sukienkami. Dostrzegam przed nią walizkę.

To tylko stara, brązowa walizka, ale sprawia, że moje wewnętrzności wydają się trząść jak galareta. Od razu odechciewa mi się bawić. Chcę wrócić do bezpieczeństwa, jakie daje mi mój pokój, po czym wczołgać się pod kołdrę. Ale jestem dzielnym odkrywcą, więc zamykam drzwi, a następnie podchodzę na palcach, by dołączyć do Marley.

– Otwórz – zachęca.

Trzęsą mi się ręce. Chowam je za plecami, potrząsając głową.

– To zła walizka. Powinnyśmy zostawić ją w spokoju.

Marley rzuca mi miazdzące spojrzenie.

– Nie bądź tchórzem.

Biorę więc głęboki oddech, po czym klękam obok niej. Mimo trzęsących się rąk udaje mi się nacisnąć przyciski na obu zatrzaśkach.

Klik. Klik.

Otwieram walizkę.

Nic nie wyskakuje, żeby mnie ugryźć. Na wierzchu znajduje się warstwa niebieskiej bibuły, która marszczy się, gdy odkładam ją ostrożnie na bok.

Pod spodem znajduje się biała sukienka. Jest wykonana z lśniącej, gładkiej tkaniny pokrytej koronką.

– Jedwab – stwierdza Marley. Zna wszystkie słowa, mimo że jest tylko siedem minut starsza ode mnie. – A może satyna.

Te słowa są owocem naszego wspólnego czytania z mamą.

W szkole uczą nas czytania, ale tylko prostych słów oraz nudnych historyjek o myszach i kotach. Znamy już wszystkie litery i sposób ich dopasowania, aby stworzyć słowa. Nie mówimy tego. Jeśli mama się o tym dowie, najprawdopodobniej przestanie czytać nam na dobranoc albo powie nam, żebyśmy same sobie czytały.

Pora snu to moja ulubiona chwila spędzona z mamą. Nie jest wtedy zbyt zajęta, żeby mnie przytulić. Nie ma dla mnie listy zadań do wykonania i nie wypytuje mnie o nazwy krajów, które powinnam zapamiętać, nie zmusza mnie do policzenia do stu albo recytowania wersetów biblijnych.

Przytula mnie i czyta mi opowiadania przy świetle nocnej lampki. Nigdy nie czyta Marley, ale to właśnie ona pamięta wszystkie słowa, nawet te najtrudniejsze.

Wczoraj wieczorem mama przeczytała *Kopciuszka*, tego z dużej, grubej książki z napisem Grimm na grzbiecie, a nie z tej

z ilustracjami, gdzie przybrane siostry mają spiczaste nosy, a Kopciuszek wygląda tak lekko na swoich nogach, że mogłaby pofrunąć w górę aż do nieba.

Mogę wskazać tylko niektóre słowa z tej książki. Marley mówi, że grim¹ oznacza „ponury” i na pewno na tych stronach jest dużo ponurych słów.

Znajdują się tam „jedwab” i „satyna”, ale także „szkaradny”. I „osierocony”.

– Co by było, gdybyśmy zostały osierocone? – zapytała mnie Marley, kiedy mama przeczytała *Jasia i Małgosię*.

– Oni nie zostali osieroceni – zauważyłam. – Ich ojciec wciąż żył.

– Może lepiej byłoby im, gdyby byli osieroceni – stwierdziła – skoro ojciec chciał ich zabić i w ogóle.

Wtedy jej słowa sprawiły, że poczułam się tak, jak czuję się właśnie teraz – przestraszona i roztrzęsiona. To nie wiedźma z piernikowej chatki mnie przeraża; to myśl, że moi rodzice już mnie nie chcą. Kiedy budzę się z koszmarów, krzycząc, a mama przychodzi, by mnie uspokoić, to zawsze z powodu tego samego snu. Zawsze mnie pyta:

– Co ci się śniło, mała? Powiedz mi.

I zawsze odpowiadam jej:

– Nie pamiętam.

I zawsze jest to kłamstwo.

Ale teraz nie śnię. Jestem z Marley i ukrywamy się w zakazanej szafie. Suknia nie wygląda tak, jak na ilustracjach *Kopciuszka*. Nie uważam, żeby słowo „jedwab” pasowało do niej idealnie.

– Załóż ją – mówi Marley. – Możesz być Kopciuszkiem.

– Nie chcę być Kopciuszkiem.

– A co z księżniczką Leią? To nawet bardziej pasuje.

Nie widziałyśmy *Gwiezdných wojen*. Mama mówi, że jesteśmy za młode. Ale słyszałyśmy o nich od innych dzieci. Lacey w szkole ma ilustrowaną książeczkę o całej historii. Widziały-

¹ Gra słów. Grim to nazwisko autorów *Kopciuszka*, a „grim” to po angielsku „ponury” (przyp. tłum.).

śmy księżniczkę Leię w jej białej sukni, niosącą broń przez statek kosmiczny. Leia jest o wiele bardziej ekscytująca od Kopciuszka, piłek i tańca.

Ale jednak.

– Wpadniemy w kłopoty. – Mimo to moje ręce już wygładzają materiał.

– Nikt się nie dowie.

Pod sukienką są dwa małe, różowe kocyki i niebieski, wypchany miś. Miś jest bliźniakiem tego, który siedzi na moim łóżku i co noc idzie ze mną do Krainy Snów.

W jednym z kocyków jest zawinięte zdjęcie. Marley i ja gapimy się na nie, próbując nadać sens temu obrazowi. Dziewczyna trzyma dwoje niemowląt owiniętych w różowe kocyki. Ta dziewczyna ma twarz mojej matki, ale ma na sobie džinsy i bluzkę, a dodatkowo ma długie, rozpuszczone włosy sięgające jej niemal do pasa. Na powiekach ma tonę niebieskiego cienia, a jej rzęsy skleja gruba warstwa tuszu.

Dziewczyna wygląda jak mama, z tym że mama zawsze nosi sukienki lub spodnie dresowe i koszulkę. Włosy ma krótkie, na twarzy nie ma nic oprócz kremu.

To zdjęcie sprawia, że jest mi niedobrze, więc zawijam je z powrotem w kocyk. Wciągam sukienkę przez głowę. Wydaje miękki szelest i rozlewa się wokół mnie na podłodze, przypominając bardziej tren Kopciuszka niż sukienkę Leii. Marley wybiera buty na wysokim obcasie, po czym podaje mi je. Balansuję w nich niepewnie, sprawdzając moją przemianę w pełnowymiarowym lustrze. Wówczas otwierają się drzwi szafy, a Zła Macocha, wpatrując się we mnie z dłońmi położonymi na biodrach i mocno ściśniętymi ustami, daje mi do zrozumienia, że mam poważne kłopoty.

Bo to w ogóle nie jest Zła Macocha, a ja nie jestem ani Kopciuszkiem, ani dzielną księżniczką Leią ratującą imperium. Moja matka przyłapała mnie na grzebaniu w rzeczach, które do mnie nie należą.

– Co robisz?

To podchwytliwe pytanie i dobrze wiem, że lepiej nie odpowiadać. Ona widzi, co robię.

– Z kim rozmawiałaś?

– Z nikim.

Jej oczy wypalają we mnie dziurę. Usiłuję nie spuszczać wzroku, ale balansuję na wysokich obcasach. Moja stopa wślizguje się do czubka buta, a potem chwieje na boki. Przewracam się, chwytając garść sukienek dla równowagi, ale te zsuwają się z wieszaków i spadają na podłogę razem ze mną. Leżę w stercie ubrań na dnie szafy.

Mama podchodzi, po czym zamyka walizkę.

– Wstań i zdejmij to.

Próbuję być posłuszna, ale jestem spleciona strachem oraz tkaninami. Dłonie mamy podnoszą sukienkę ponad moją głowę.

– Nie wolno ci wchodzić do mojego pokoju bez pozwolenia. Nie możesz się bawić w tej szafie. Rozumiesz? Spójrz na mnie, kiedy do ciebie mówię.

Spoglądam na jej twarz. Tę samą twarz, którą widziałam na zdjęciu, tylko nie tak gładką. Nie mogę patrzeć jej w oczy, więc znajduję bliznę na lewym policzku – cienką, białą linię – i skupiam się na niej. Na fotografii nie miała tej blizny i uważam to za pocieszające. Dziewczyna ze zdjęcia, trzymająca dwoje niemowląt owiniętych w różowe kocyki, nie mogła być moją matką.

– Teraz – mówi mama – powiedz mi jeszcze raz. Z kim rozmawiałaś?

– Marley. – Imię wyskakuje ze mnie jak żaba ze stawu. Chylę głowę, aby ukryć twarz, ale mama chwyta mój podbródek i zmusza mnie, żebym znów na nią spojrzała. Jej palce są tak twarde i silne jak u wiedźmy z piernikowej chatki. To boli.

– Nie ma żadnej Marley – odzywa się. – Rozumiesz mnie? Mówiłam ci już wcześniej, że jesteś za duża na wyimaginowanego przyjaciela.

– Ona nie jest wymysłem. – Jestem zszokowana i przerażona swoją śmiałością.

– Rozejrzyj się – rozkazuje mama. – Widzisz jakąś Marley?

– Ona się ukrywa.

Palce przesuwają się na moje ramiona. Tym razem obejmuje mnie dwiema rękami, lekko mną potrząsając.

– Ona się nie ukrywa. Jest wytworem – potrząśnięcie – twojej – potrząśnięcie – wyobraźni.

Bołą mnie ramiona. Wystarczająco mocno, aby łzy napłynęły mi do oczu, ale nie będę płakać. Nie zrobię tego. Wiem, że lepiej nic nie mówić, więc unoszę tylko głowę.

– Obiecaj mi, że zaprzestaniesz grać w tę głupią grę – prosi mama. – Obiecaj mi. W tej chwili.

– Nie.

Po raz pierwszy sprzeciwiłam się jej. To jedno słowo wisi w powietrzu pomiędzy nami.

– Dasz sobie z nią spokój. Dasz sobie z nią spokój w tej chwili. To koniec tego nonsensu. – Mama chwyta jeden z pasków taty wiszących na haczykach w szafie. Wolną ręką zaciska mój nadgarstek w żelaznym imadle, po czym wyciąga mnie z szafy prosto na łóżko.

Nie walczę z nią. Jestem zbyt zszokowana, by cokolwiek zrobić. Kładzie mnie na swoich kolanach. Kiedy pasek opada na tył moich nóg, zaczynam się szarpać, ale wtedy jest już za późno. Przyszpiliła mnie. Pas wciąż wracał, uderzając w mój tyłek, moje uda.

Całe moje postanowienie, żeby nie płakać, zniknęło przy trzecim uderzeniu. Słyszę swój lament, głośny i smutny.

– Co się dzieje?

Głos taty powstrzymuje wszystko: uderzenie paska, torturujące palce mamy unieruchamiające mnie, głośny szloch wydobywający się z mojego gardła. Obie zastygamy, odwracając głowy w jego stronę.

– Wezmę to – mówi bardzo cicho, zabierając pas z rąk mamy.
– Grzebała w szafie – wyznaje mama. – W moich rzeczach.
– Nie grzebałyśmy – kwilę. – Odkrywałyśmy. Marley jest prawdziwa. Nie obchodzi mnie, co mówisz.

– Widzisz?! – oburza się mama. – Nadal się nie nauczyła. Oddaj mi ten pas.

– Leah – zwraca się tata. Tym razem jego głos jest naganą, przypomnieniem, tonem głosu, którego używa, gdy wpadam do domu w zabłoconych butach.

Palce mamy zaciskają się mocniej na mojej skórze. Mam wrażenie, że przebijają się przez ciało, miażdżąc kości. Marley szepcze mi do ucha, że może mama jest ogrem, a nie moją prawdziwą mamą.

– To niedorzeczne – stwierdza ogr. – Ta sprawa z Marley musi się skończyć.

– Pozwól, że ja się tym zajmę. Proszę, Leah. Jesteś zbyt zdenrowana.

Tata wygląda jak bohater jednej z moich ulubionych bajek – ofiaruje się smokowi w zamian za księżniczkę.

Uścisk ogra naprawdę zaczyna mnie boleć. Mam zaciśniętą szczękę, ale szloch próbuje się wydostać.

– Leah. – Głos taty jest teraz bardzo delikatny. Wygląda, jakby robił coś w rodzaju hipnozy. Jego twarz znajduje się zaledwie kilka centymetrów od ogra. Kładzie swoje dłonie na jej, a ona puszcza moje ramiona.

Magia taty rozpuszcza coś w niej. Wydaje z siebie stłumiony dźwięk, który zmienia ją z powrotem w mamę. Tata siada na łóżku, po czym obejmuje ją.

– Idź do swojego pokoju, Maisey. Zaraz tam przyjdę – rozkazuje. Jego głos jest stłumiony, a policzek ma przyciśnięty do włosów matki.

Idę.

Tyłek mnie boli, nogi mnie bołą, ale dźwięki, jakie wydaje z siebie mama, ranią mnie jeszcze bardziej. Leżę na łóżku z twarzą ukrytą w poduszce. Marley jest tutaj, ale wygląda bardzo niewyraźnie.

– Muszę odejść – oznajmia. Nawet jej głos brzmi niewyraźnie.

– Wiem.

– Nie zapomnij o mnie.

Kiedy znika i zostawia mnie samą, moje serce zamienia się w bryłę lodu. Zimno mi. Mój pokój jest zimny. Wślizguję się do łóżka wraz z misiem, a następnie chowam się pod kołdrą.

Odmawiam wyjścia z mojego pokoju na kolację.

– Nie jestem głodna – oznajmiam tacie, kiedy przychodzi sprawdzić co u mnie, ale gdy już go nie ma, jem ciasteczka i piję mleko, które zostawił na komodzie.

Dużo później przychodzi mama, żeby poczytać mi do snu. Jestem już w piżamie, z otwartą książką z baśniami w moich dłoniach i lampą rzucającą światło na strony.

– Przepraszam – odzywa się, przysiadając na skraju mojego łóżka. – Byłam zbyt zdenerwowana. – Jej oczy są czerwone i opuchnięte, a głos brzmi, jakby miała zatkaany nos.

– Czy w takim razie mogę mieć Marley?

Wzdycha.

– Nie ma żadnej Marley. Wściekłam się i przepraszam za to. Ale musisz dorosnąć. Koniec z Marley. A teraz jesteś gotowa na czytanie?

Patrzę na nią znad książki.

– Mogę sama sobie poczytać.

To prawda. To było prawdą od dawna. Po prostu nie zdawałam sobie z tego sprawy.

– W każdym razie mogę to zrobić. – Wygląda na smutną. Część mnie chce ją przytulić, ale moje nogi wciąż płoną od jej uderzeń, a Marley zniknęła. W tym momencie jednocześnie kocham swoją matkę i jej nienawidzę.

– W porządku – odpieram, nie odrywając wzroku od książki, chociaż w tej chwili nie rozpoznaję żadnej z liter. – Ale i tak dziękuję.

Podnosi dłoń, jakby chciała mnie pogłodzić po włosach, a potem pozwala jej opaść na koldrę pomiędzy nami. Udaję, że jej tu nie ma, że jestem sama z książką. Kiedy wychodzi z pokoju, przygryzam wargę, żeby powstrzymać się przed zawołaniem jej. A kiedy drzwi zamykają się z ledwo słyszalnym trzaskiem, wiem, że gdybym ukarała ją za zabranie Marley, ukarałabym samą siebie.

**KANSAS CITY,
MISSOURI**

2017

Rozdział drugi

Według mnie czas nie jest liniowy. Płyne w losowych pętłach i wirach, a niekiedy niezrozumiale skacze. Rozkoszowałam się możliwością posiadania osobistego tunelu czasoprzestrzennego, który otwiera się na alternatywne kontinuum czasu, ilekroć jestem zaangażowana w interesujące mnie zajęcie: czytanie, mówienie czy malowanie.

Na przykład dzisiaj, przysięgam, że minęły zaledwie dwie minuty normalnego czasu, odkąd usiadłam, by zagłębić się w soczyście grubej, solidnej, fantastycznej powieści, którą wczoraj kupiłam. Nie mogło minąć więcej niż dwie minuty, ale zegar na ścianie tajemniczo przesuwiał się naprzód.

Zimny i zwiotczały bekon, który położyłam na patelni znajdującej się na kuchence, zanim podniosłam książkę, zmienił się w czarny, żeby ostatecznie spalić się w czasie, który jest tajemniczą sprawą. Nie mogę jednak rozważać kaprysów czasu. Muszę zmierzyć się z przeraźliwą rzeczywistością wypełnioną dymem wydobywającym się z kuchni. Jestem rozdarta pomiędzy gaszeniem ognia, który wybuchł w rozpryskującym tłuszczu, a zrobieniem czegoś – czegokolwiek – by powstrzymać hałas alarmu pożarowego ryczącego nad moją głową.

Najpierw ogień. Zawsze najpierw ogień.

Kiedy sięgam po pokrywę, żeby przykryć patelnię i wyłączyć palnik, gorący olej rozpryskuje się na moje dłonie i ramiona. Moja mama dostałaby szału. Mam trzydzieści dziewięć lat, a nadal słyszę jej głos w głowie tak wyraźnie, jakby stała za mną. Mogę sobie wyobrazić, jak kładzie obie dłonie na swoich kancianych biodrach, przechyla głowę w prawo, na tyle, żeby jej włosy

splynęły na ramię, i przyszpila mnie wzrokiem pełnym rozczarowania.

Musisz nauczyć się skupiać, Maisey. Jedna rzecz na raz. Kiedy gotujesz, gotuj. Kiedy się uczysz, ucz się. Kiedy sprzątasz, sprzątaj. Musisz nauczyć się tej umiejętności, jeśli chcesz odnieść sukces.

To stary wykład, który podąża za mną tak daleko, jak moje wspomnienia. Jednak teraz nie ma znaczenia. W sumie nigdy nie miał. Nie jestem w stanie skupić się na jednym celu. Koncepcja sukcesu mojej matki mistyfikuje mnie tak dokładnie, jak idea linii prostej w czasie.

Z drugiej strony moja córka urodziła się, żeby być praktyczną. Nie ma rozproszonych myśli, nie jest niezdecydowana. Rzuca się do kuchni, całkowicie skupiona.

– Znowu?! – krzyczy wystarczająco głośno, by można ją było usłyszeć przez hałas.

Ciągnie krzesło przez kuchnię, po czym staje na nim. Gdy rozciąga się, żeby dosięgnąć czujnika dymu, uderza mnie to, jak bardzo urosła. Ostatnim razem, kiedy przerabialiśmy taką sytuację, jej dłonie ledwo musnęły plastiku i musiała stanąć na palcach. Jak dawno to było? Jej koszulka mocno przylega do klatki piersiowej, przez co wyraźnie widzę malutki biust.

– Co? – pyta, kiedy zapada nagła cisza. W jednej dłoni trzyma baterię, a w drugiej czujnik.

Zdaje sobie sprawę, że się gapię, roztrzęsiona świadomością, że moje dziecko staje się nastolatkiem i zapewne w ciągu kilku kolejnych miesięcy nastąpi nasza separacja, a wraz z nią kłótnie. Gdzie będę, kiedy mnie zostawi, by podążyć za własnym życiem? Nie zostawiaj mnie, Elle. Nigdy mnie nie opuszczaj.

Kiedy nie odpowiadam, schodzi z krzesła i robi wszystko to, co ja powinnam.

Otwiera okno.

Włącza wentylator.

Wyciąga ściereczkę i plyn do naczyń, po czym zaczyna sprzątać tłusty bałagan z kuchenki.

– Poważnie, mamó. Nie można ci ufać, kiedy gotujesz i czytasz w tym samym czasie. Ile razy o tym rozmawialiśmy?

Brzmi dokładnie tak samo, jak moja matka, co przypomina mi, że to ja jestem matką, a Elle nadal jest dzieckiem.

– Daj mi to. Sama to zrobię. – Zabieram od niej ściereczkę. W tej chwili jestem wystarczająco skoncentrowana. Wszędzie czuję gryzący dym, pieką mnie ramiona, a dodatkowo mam guł w gardle.

Elle otwiera frontowe drzwi. Świeże, czerwcowe powietrze wpada do kuchni i rozgania dym.

– Dlaczego w ogóle robisz bekon? – oburza się. – Co się stało z sałatką, która miała być na kolację? Myślałam, że to nowa norma.

– Nową normą jest to, że mogę odejść od rutyny.

– Och, proszę. To stara norma. – Prycha z odrazą, co przypomina dziecięcy rodzaj prychnania, a następnie niespodziewanie wybucha niekontrolowanym chichotem. – Jesteś niereformowalna. Ale i tak cię Kocham.

Tańczącym krokiem przechodzi przez kuchnię, po czym mnie przytula. Nie mogę już ułożyć jej głowy pod moim podbródkiem. Elle urosła. Jeszcze trochę i będzie patrzeć mi prosto w oczy.

– Gdzie nauczyłaś się tego słowa? – mamrocę w jej włosy, tuląc ją, jakby mogła rozpułnąć się w dymie z bekonu i zniknąć, być tylko zjawą, wspomnieniem.

– Moja nauczycielka od angielskiego napisała tak na mojej ostatniej pracy.

– Elle Belle, musisz zdać angielski. – Rozluźniam uścisk, a po chwili odchylam jej podbródek. Jej oczy mają różne odcienie orzecha i przypominają mi oczy mojej matki – mozaikowe z pikselami jadeitu oraz mahoni. Oczy wprowadzające w błąd przypadkowego przechodnia, który przeoczyłby ich chłód. Moje oczy są niebieskie lub zielone, w zależności od światła. Oczy mo-

jego ojca są szare. Moja genetyka jest tak beztrioska, jak moje poczucie czasu.

– Pani Wilson musi przestać zadawać takie głupie zadania – rzuca Elle. – Nie zamierzam marnować czasu na pisanie o moich wakacjach. – Robi w powietrzu znak cudzysłowu przy ostatnich trzech słowach, a jej głos jest przepełniony kpina.

– Co dokładnie napisałaś?

– Opowiadanie. Możemy już iść na kolację?

– Kto teraz odbiega od normy? – Wiem, że próbuje mnie spławić. Pani Wilson z pewnością napisze do mnie e-mail, aby poinformować mnie, że moja córka robi na przekór, i dołączy kopię tej obrażającej historyjki.

Zdaję sobie sprawę także z tego, że w niedalekiej przyszłości nieuchronnie nadejdzie moment, kiedy Elle pogardzi ideą wspólnej kolacji z matką. Każdy dzień, który chce spędzić ze mną, jest darem.

– W porządku. Chodźmy na kolację. Co powiesz na meksykańskie jedzenie?

– Co stało się z pomysłem zrzucenia dziesięciu kilogramów przed czterdziestką?

– Mam jeszcze miesiąc. Zamknij okno i wkładaj buty. Może jeszcze przed wyjściem upewnijmy się, że nigdzie nie ma już śladów po bekonowym pożarze.

Kiedy dzwoni mój telefon, patrzę na niego, ale nie odbieram. Nie dzwoni ktoś, kogo znam. Jedynymi ludźmi, od których odbieram, są moi rodzice, ale i od nich czasami zdarza mi się zignorować połączenie.

Elle nie jest taka jak ja.

Odbiera przed drugim dzwonkiem.

– Tak, jest tutaj. Chwileczkę. – Ignorując moje przesadne potrząsanie głową i bezgłośnie mówienie „nie ma mnie tutaj”, podaje mi komórkę. – To jakaś pani Carlton – mówi, a mój świat zapada się do wewnątrz. Wszystko w łagodnym, zwolnionym tempie, jak trzęsienie ziemi w filmie.

Jedna z moich bosych stóp jest oświetlona przez światło padające przez okno, druga pozostaje w cieniu. Małe plamy tłuszczu z bekonu pstrzą podłogę między nimi. Oczy Elle zdradzają ciekawość. Jej dłoń trzymająca telefon wygląda na silną, a gładkie łuki jej paznokci są takie same jak u jej ojca.

Patrzę, jak moja ręka sięga po komórkę. Mam dłuższe palce od Elle, bardziej spiczaste, a paznokcie pomalowałam czarnym lakierem. Przy knykciach rozchodzą się oparzenia od gorącego oleju. Na krawędzi są czerwone, a w środku wypełnione pęcherzykami.

Elle podaje mi telefon, przypominając, że powinnam zrobić coś poza staniem. Komórka wydaje się cięższa, niż wygląda, a mój głos, kiedy się witam, unosi się w górę, aby dołączyć do dymu nad moją głową. Jak dymek z kreskówki zawierający pytanie, które nie wymaga odpowiedzi.

Muszę jednak odpowiedzieć, czy tego chcę, czy nie. Długa, szczegółowa, wypalająca odpowiedź, ponieważ dzwoni pani Carlton. Pani Trzymaj-Się-Z-Dala-Od-Mojego-Trawnika Carlton. Pani Powiem-Twojej-Matce Carlton. Pani Nie-Powinnaś-Odrabiać-Pracy-Domowej oraz Dlaczego-Ten-Chłopak-Cię-Całuje Carlton.

– Maisey? – Ledwo rozpoznaję jej głos. Zrobił się miękki i drżący. Brzmi, jakby miała osiemdziesiąt lat. W sumie kiedy miałam szesnaście lat, to ona była już stara. Może teraz mieć osiemdziesiątkę. Może dobiegać setki.

– Skąd ma pani mój numer?

– Był przyczepiony do lodówki twojej mamy. Dzwonię, ponieważ uważam, że twój ojciec nie powinien być sam w tej chwili.

– Dlaczego nie? – To pierwsze pytanie. Następne jest bardziej miażdżące i oczywiste. Pytanie, które przekształca moje płuca z gąbczastych zbiorników powietrza w solidny, nieprzepuszczalny plastik, niezdolny do zatrzymania tlenu. – Gdzie jest mama? – To drugie pytanie, na które nie chcę usłyszeć odpowiedzi.

– Właśnie odjechało pogotowie. Policja nadal tutaj jest, ale wygląda na to, że nie zamierzają go aresztować. Bóg wie, że nie mogę z nim zostać. Mam dużo rzeczy do zrobienia w swoim domu, a poza tym nie jestem pewna, czy czułabym się bezpiecznie. Wiesz?

Nie wiem. Nic nie wiem. Nic w tej rozmowie nie ma sensu.

Słyszę głosy w tle. Męskie. Autorytatywne.

– Jest tam policja?

– Policjanci przyjechali praktycznie razem z pogotowiem. Mogliby zadzwonić po pomoc społeczną, jeśli nie zamierzają go aresztować, ale i tak powinnaś przyjechać...

– Niech pani pozwoli mi porozmawiać z policją.

– Chcesz rozmawiać z policją? – Brzmi na zgorzsną, jakbym prosiła o rozmowę z kimś z ISIS¹.

Rozlega się ciężkie westchnienie i szuranie stopami, a następnie inny głos mówi do telefonu.

– Maisey?

– Tato? Co, do licha, się tam dzieje?

– Policja przyjechała.

– Wiem, słyszałam. Dlaczego? Dlaczego jest tam policja? Co się stało z mamą?

– Twoja matka... – Cisza. Jeszcze więcej ciężkiego wzdychania. – Zabrała ją karetka. Nie chciała z nimi iść, Maisey. I nie mogę znaleźć...

– Tu oficer Mendez. Czy rozmawiam z córką?

Nowy głos. Męski. Pewny. Nieznaczną nutą latynoskiego akcentu. Ten mężczyzna chce potwierdzić moją tożsamość, więc już wiem, że teraz rozmawiam z funkcjonariuszem policji.

Córka.

To słowo oznacza najbliższego krewnego.

– Co się dzieje? Co się stało z moją matką?

¹ Skrótowiec z ang. Islamic State of Iraq and Sham – tzw. Państwo Islamskie, nieuznawany na arenie międzynarodowej samozwańczy kalifat ogłoszony w 2014 roku na terenie Syrii i Iraku (przy. red.).

– Żyje – oznajmia, ale ton jego głosu nie daje wiele nadziei na to, że pozostanie w takim stanie. – Sąsiadka, Edna Carlton, zadzwoniła do nas po tym, jak pani ojciec odmówił jej rozmowy z pani matką. Twierdzi, że martwiła się, ponieważ nie widziała, żeby ktokolwiek wchodził lub wychodził z domu przez ostatnie trzy dni. Twierdzi też, że pani ojciec wyglądał na zdenerwowanego, był nieogolony i zdezorientowany. Na koszuli miał zaschniętą krew...

– To niedorzeczne. Edna Carlton to intrygantka. Jest pan pewien, że nie koloryzuje faktów?

Mój ojciec w całym swoim życiu nigdy nie odpuścił sobie prysznicza ani golenia się, a przynajmniej nie tak długo, jak go znam. Częściowo dlatego, że jest schludny i konkretny, a częściowo dlatego, że matka nigdy by na to nie pozwoliła.

Moja matka. Odjeżdżająca w karetce.

Razem z oficerem Mendezem jednocześnie bierzemy głębokie oddechy.

– Pani ojciec prezentuje się tak, jak opisałem. Nie zadbał nawet o zamknięcie drzwi. Pani Carlton weszła do domu, kiedy nikt nie odpowiedział na jej pukanie do drzwi. Znalazła pani matkę w łóżku, nieprzytomną. Zadzwoniła pod 911. Pani matka jest odwodniona. Ma ranę z tyłu głowy. Na podłodze w kuchni jest krew.

Kładę wolną dłoń na blacie za mną, żeby zachować równowagę.

– Mamo? – pyta Elle. – Co się stało?

Odwracam się plecami, abym nie widziała strachu wymalowanego na jej twarzy. Opieram czoło o szafkę kuchenną i odmawiam modlitwę.

– Wszystko z nią w porządku, prawda?

– Czy jest ktoś z panią? Może powinna pani usiąść. – Nienawidzę tego głosu, z akcentowanymi samogłoskami i kompetentną, profesjonalną sympatią. Nie chcę słyszeć niczego, co ma mi do powiedzenia.

– Nie jestem sama. I nie muszę siadać.

Odchrząkuje, a ja mocniej przyciskam czoło do szafki, czując, jak linia krawędzi wbija mi się w skórę. Koncentruję się na bólu. Elle podchodzi do mnie i chwytą mnie za dłoń. Drżenie, które przechodzi przez moje mięśnie, przenosi się na nią. Wyobrażam sobie tego policjanta jako osobę zamrożoną w bryłę węgla, tak jak Han Solo w *Gwiezdnych wojnach*. Ale nie jestem Darth Vaderem ani Jabba the Hutt, ani nawet niekompetentnym młodym padawanem. Brak mi nawet przebłysku mocy, a Mendez ciągle mówi.

– Jest w śpiączce – kontynuuje. – Najprawdopodobniej od uderzenia w tył głowy. Postawimy pani ojcu zarzuty dotyczące przemocy domowej i narażenia na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia lub ciężkiego uszczerbku na zdrowiu.

Mój oddech staje się trudnym do zrealizowania obowiązkiem.

– Mamo? – pyta Elle, szarpiąc mnie. Znowu brzmi młodo, przestała być apodyktyczna. Ściskam jej dłoń, przypominając sobie, że przecież nie znalazłam się w jakiejś alternatywnej rzeczywistości.

– Niech pan posłucha. Mój ojciec zajmuje się łapaniem i wypuszczaniem pajaków, karaluchów oraz myszy. Nigdy by jej nie skrzywdził. Może upadła. Albo miała udar czy coś podobnego.

– Wytłumaczy pani to w sądzie...

– Powiedział pan, że w kuchni była krew. Może się poślizgnęła. Uderzyła głową w blat. Zapytał pan go o to?

– Pytaliśmy. Tak właśnie powiedział. Że upadła. Poinformował nas, że po jej upadku nie zadzwonił pod 911, ponieważ, cytując: „chciała umrzeć”. Zeznaje, że następnie zaciągnął ją do sypialni, po czym położył na łóżku.

– Jeśli właśnie tak powiedział, to tak się stało.

Nic z tego nie może być prawdziwe. Elle puszcza moją dłoń, a ja czuję, że jestem o krok od długiego upadku.

– To właśnie zarzuty, których szukamy – dodaje Mendez. – Przemoc domowa i narażenie na utratę życia lub zdrowia. Nie wezwał pogotowia. Przez trzy dni, jeśli pani sąsiadka ma rację.

– Edna Carlton jest już stara, gdyby pan nie zauważył. Może po prostu jest zdezorientowana...

– Krew w kuchni jest zaschnięta, tak samo krew na koszuli pani ojca. Zleciały się już muchy. Od trzech dni nikt nie zabrał gazet z ganku.

Elle podsuwa mi krzesło pod nogi. Siadam na nie.

– Dla jasności, czy kiedykolwiek ojciec ją uderzył?

– Nie. Broń Boże. Nie. Mówiłam...

– A co z panią? Czy kiedykolwiek panią uderzył?

Absurdalność myśli, że ojciec mógłby kiedykolwiek kogoś uderzyć, sprawia, że mój umysł zaczął przeszukiwać moje dzieciństwo w poszukiwaniu przykładów. Często spotykałam się z ręką mojej matki – klaps w tyłek, uderzenie w policzek – ale ręce mojego ojca zawsze były delikatne.

– Pani Maisey? – Policjant ściąga mnie z powrotem do rzeczywistości.

– Nie – mówię. – Nigdy.

– Czy pani ojciec jest... nieźrównoważony... w jakikolwiek sposób?

– Mój ojciec jest najmiłszą, najbardziej delikatną duszą na całej planecie. Nie mogę uwierzyć, że pan...

– A co z demencją?

– Słucham?

– Demencja. Alzheimer. Czy miał trudności z pamięcią? Czasami pojawiają się wahania nastrojów czy też dramatyczne zmiany osobowości.

– Nie. Mój ojciec nie ma demencji. Nie ma wahań nastrojów. Mama upadła. To najbardziej prawdopodobne...

– Nie wezwał pogotowia. Czy pani matka miała spisany testament życia², o którym mogłaby pani wiedzieć? Ojciec twierdzi, że to wszystko było jej życzeniem i nie chciała jechać do szpitala.

– Nie, nic nie wiem. Jeśli miała jakiś testament, to nigdy mi o nim nie powiedziała.

– I jest pani pewna, że ojciec nie cierpi na demencję? – upiera się Mendez.

– Nie! Nie, wszystko z nim w porządku. Rozmawialiśmy w zeszłym tygodniu. Był w doskonałej kondycji.

– Czasami ludzie z alzheimerem potrafią zachowywać pełną świadomość przez jakąś chwilę, przynajmniej przez krótki okres czasu. Kiedy ostatni raz była pani w domu rodziców, żeby zaobserwować zachowanie ojca przez dłuższy czas?

Wysoki stos zgromadzonego poczucia winy rozpada się wokół mnie, zakopując moją osobę po uszy. Skąd mam wiedzieć? Od trzech lat nie byłam w domu rodzinnym. Dzwoniłam do rodziców co tydzień, ale rozmowy były krótkie i powierzchowne. Jeśli mój ojciec zaczął się zatracać, nie zauważyłam tego, ale też nie rozmawiałam z nim o niczym innym niż pogoda czy Seattle Seahawks³. Jeśli chodzi o moją matkę, nigdy by się nie przyznała do alzheimera ani nie pozwoliłaby, żeby ktokolwiek cierpiał z tego powodu.

– Jest pani jedynym najbliższym członkiem rodziny, którego udało nam się zlokalizować. Czy jest jeszcze jakiś krewny, który znajduje się bliżej pani rodziców? Pani jest w Kansas, prawda?

– Tak – odpowiadam. – Mieszkam w Kansas. Nie, nie mam rodzeństwa, moja mama nie ma żadnych żyjących krewnych, a jedyna siostra taty zmarła ponad rok temu.

– Czy pani matka chciałaby być podtrzymana przy życiu, jeśli byłoby to konieczne?

² Testament życia (lub oświadczenie woli pro futuro (łac.)) – oświadczenie woli pacjenta, na wypadek utraty przytomności, dotyczące zakresu leczenia (przy. red.).

³ Seattle Seahawks – zawodowy zespół futbolu amerykańskiego z siedzibą w Seattle, w stanie Waszyngton (przy. red.).

– Nie. Nie wiem. Nie powiedziała mi nic na ten temat.

Przez moją głowę przelatuje obraz: moja matka leży nieprzytomna i bezradna, unieruchomiona przez rurki, a mój łagodny ojciec, nagle czerwonooki i garbaty, pochyla się nad nią z zakrwawionym nożem.

– Przylecę jak najszybciej będzie to możliwe.

– Idealnie. Proszę, niech pani zadzwoni do szpitala. Mogę podać pani numer. Ma pani coś do pisania?

Nie potrafię podejmować decyzji dotyczących wyboru pszenicy, żyta czy zakwasu. Jak, do diabła, mam poradzić sobie z moimi rodzicami?

– Ma pani długopis? Jest pani gotowa? – dopytuje policjant.

– Elle, weź pióro.

Wraca w ciągu jednego uderzenia serca i zapisuje liczby, które jej powtarzam. Mendez się rozłącza.

Mój świat staje się nierealny. Ta wypełniona dymem kuchnia należy od kogoś innego. Wzór płytek na podłodze wciąga mnie w geometryczną płataninę błękitu, jasnego brązu i żółknącej, zgniłej zieleni. Pełno na nich zadrapań od nóg krzesel.

– Kto kładzie takie kafelki na podłodze? – pytam. – To jest szkaradne.

– Mamo. – Głos Elle, wypełniony niepokojem i frustracją, przyciąga moją uwagę. Teraz, kiedy siedzę, jest ode mnie wyższa. Nie powinnam patrzeć na nią z tej perspektywy, która zmienia kontury jej twarzy i sprawia, że wygląda na starszą.

Jeśli wypowiem jedno z tych słów na głos, sprawię, że to, co powiedział Mendez, stanie się prawdą. Potrzebuję jeszcze kilku minut, trochę więcej czasu, żeby posiedzieć w moim wygodnym kokonie zaprzeczenia, ale córka mi na to nie pozwoli. Więc mówię jej. Nie mówię wszystkiego. Tylko część, tę część, o której jestem w stanie rozmawiać.

– Babcia jest w szpitalu. To coś poważnego. Muszę pojechać pomóc dziadkowi.

To przeformułowanie stulecia. Elle jest zbyt mądra, aby kupić moją historijkę.

– Rozmawiałaś z policją.

– Dziadek jest trochę... zmieszany. Chcą umieścić go na oddziale psychiatrycznym. A może nawet w więzieniu.

Irracjonalny śmiech pojawia się na wyobrażenie taty w więzieniu. Wątpię, czy mój ojciec kiedykolwiek poniósł większą karę niż mandat za niezapłacenie biletu parkingowego.

– Przerażasz mnie – mówi Elle.

Jej głos brzmi, jakby był oddalony, ale te słowa są kluczem do jakiejś siły znajdującej się w moim sercu. Jestem rodzicem. To ja jestem odpowiedzialna.

– Przepraszam. Nie bój się. – Obejmuję ją, po czym opieram głowę na jej piersi. Unieruchamia mnie, dzięki czemu udaje mi się wziąć kilka głębszych oddechów, które są przerywane dziwnymi wspomnieniami i strachem.

– Muszę zarezerwować lot. Będziesz musiała zostać z ojcem...

– Nie ma mowy.

– Elle.

– Lecę z tobą.

– Nie możesz. Masz szkołę.

Wzrusza ramionami.

– Mogę nadrobić tydzień w, powiedzmy, jeden dzień. Wiesz, że jestem w stanie to zrobić. Lecę z tobą.

– Co z angielskim?

– Napiszę dla pani Wilson tę jej głupią wakacyjną pracę i wyślę jej. No weź, mam. To nie tak, że chce mnie oblać.

Kiedy Elle myśli, że ma rację, jest tak samo niezmienna jak granitowa bryła.

– Posłuchaj, kochanie. Będę zajęta.

– Jasne. Będziesz potrzebować pomocy. – Nie patrzy już na mnie, a jej palce dotykają telefonu. – Lecimy do Spokane, prawda? Mamy jeszcze szansę lecieć samolotem o dwudziestej.

Wtedy będziemy na miejscu o północy. Jak długo jedzie się do Colville?

– Elle.

– Chcesz przespać się w hotelu czy jechać w nocy? Pewnie będziesz strasznie zmęczona, chociaż w sumie możesz spać w samolocie.

– Elle. Nie możesz lecieć.

– Dlaczego nie mogę?

Bo nie. To najlepsza odpowiedź, jaką mam, i nie jest to odpowiedź, która kiedykolwiek zadziałała na dziecko. Nie mam żadnego logicznego wytłumaczenia, żeby jej odmówić. Jeśli chodzi o szkołę, to ma rację. Potrafi wszystko nadrobić bez żadnego wysiłku. Nawet pani Wilson, mimo swojego niezadowolenia z tego, że Elle jest nieposłuszna, nie obleje jej.

Jeśli chodzi o opiekę nad córką, to prawda jest taka, że to ona bardziej opiekuje się mną.

Nie chcę ponownie mieć złamanego serca. Nie chcę, żeby Elle przez to przechodziła. Dlatego oferuję jej jedyną rzecz, jaką kiedykolwiek mogłabym jej zaoferować – prawdę.

– Chciałabym, abyś pamiętała swoich dziadków takich, jakich znasz ich teraz. Babcia... – Dławię się słowami. Biorę oddech, a po chwili kontynuuję: – Babcia miała bardzo poważny wypadek. Jest w śpiączce. A dziadek najwyraźniej nie jest sobą. Pewnie dopadła go starość. Nie chcę, żebyś ich widziała w takim stanie.

Świdruje mnie wzrokiem, który nazywam „wyglądem jej starej duszy”. W jej oczach jest tyle współczucia i mądrości, że trudno uwierzyć, iż jest dzieckiem.

– Chcę się pożegnać – wyznaje. – Nie obchodzi mnie, czy to boli.

Bardzo dobrze wie, że nie mogę jej tego odmówić.

– Powinnaś szybko zarezerwować jakiś lot i hotel, jeśli chcesz się przespać. Rano możemy zadzwonić do moich nauczycieli.

Poddaję się. Pozostawienie Elle pod opieką jej ojca byłoby słuszną decyzją, ale jednak chcę ją mieć przy sobie.

– Musimy się spakować – oznajmiam.

– Spakuję się. Dobrze, że wczoraj był dzień prania.

– Bardzo dobrze. Wiesz, co jeszcze jest bardzo dobre?

Patrzy na mnie przez ramię.

– Co?

– Ty, Elle. Jesteś najlepszym, co mnie w życiu spotkało.

Rozdział trzeci

Tony, przez piętnaście lat pracy jako strażak oraz sanitariusz, widział dziwne, bardzo smutne i niezmiernie niepokojące rzeczy. Był świadkiem wielu tragedii, więc myślał, że widział już wszystko. Jednak jeden przypadek niespodziewanie go zaskoczył.

Przypadek jak ten.

Starzec, tak kruchy z wyglądu, że mały podmuch wiatru mógłby go zwalić z nóg, siedzi na łóżku obok śpiącej kobiety, trzymając ją za rękę. Kobieta leży nieruchomo, blada jak śmierć, a jedyną oznaką jej życia jest świszczący oddech.

Na komodzie znajdują się zdjęcia z czasów, kiedy byli młodzi. Na niektórych z nich stoją obok siebie, obejmując się. Inne fotografie przedstawiają szkolne portrety dziewczynki, a potem nastolatki.

Tony rozpoznaje ich córkę, ale chwilę zajmuje mu przypomnienie sobie jej imienia. Maisey. Tak ma na imię. Nie znał jej dobrze, ale tę chmurę czerwono-złoty loków trudno zapomnieć. Maisey w szkole była o rok wyżej od niego i obracała się w innych kręgach niż on. Uczęszczała na wszystkie zaawansowane zajęcia i trzymała się tylko z mądrymi dziećmi, podczas gdy on był spychany w kąt i z nikim się nie przyjaźnił.

Nie dlatego, że nie był wystarczająco bystry. Po prostu miał trudne dzieciństwo i zaniedbywał szkołę, więc musiał powtórzyć siódmą klasę. Ten fakt odbił się na jego późniejszym życiu. Czuł się, jakby cały czas musiał walczyć, żeby wygrzebać się z dołka.

Odrobinę zazdrościł Maisey. Uważał, że jej życie było łatwiejsze niż jego.

Ale pozory mogą mylić. O tym Tony bardzo dobrze wie.

Kiedy piskliwa sąsiadka państwa Addington opowiada historię o nocnych kłótniach i trzech dniach, podczas których Leah Addington nie opuściła domu, Tony kieruje wzrok na pomieszczenia w domu.

Krew na kuchennej podłodze, czarna i lepka, oraz muchy brzęczące wokół resztek czegoś nierozpoznawalnego, leżącego na patelni, potwierdzają insynuacje sąsiadki.

Na myśl o krwi w kuchni Tony zamyka oczy, przygotowując się na przebłyski wspomnień, wiedząc, że szybko znikną, tak jak zawsze.

Jego matka klęczy, siniak na jej policzku staje się coraz ciemniejszy.

Jego ojciec z uniesioną ręką wykrzykuje przekleństwa i obelgi.

Dźwięk uderzeń. Płacz.

Głos Cary przywraca go do rzeczywistości.

– Proszę pana – mówi do mężczyzny. – Proszę pana! Jesteśmy tu, żeby pomóc pańskiej żonie.

Starzec udaje, że nie zauważa wtargnięcia nieznanym ludzi do swojego prywatnego świata.

– Kim jesteś?

To powinno być oczywiste, biorąc pod uwagę ich stroje oraz noszone, ale staruszek nie wydaje się pracować na pełnych obrotach.

– Jesteśmy pracownikami pogotowia ratunkowego – wyjaśnia Tony. – Pana sąsiadka zadzwoniła pod dziewięćset jedenaście. Rozumiem, że pańska żona jest chora.

Staruszek ma pusty wzrok. Mruga, po czym odwraca się i poklepuje rękę kobiety.

– Wszystko w porządku, Leah – szepcze. – Nie pozwolę im cię zabrać.

Cara, nowa sanitariuszka, dziesięć lat młodsza od Tony'ego, unosi pytająco brwi, czekając na wskazówki. Tony bierze głęboki oddech i od razu tego żałuje. W pokoju unosi się nieprzyjemny zapach. W postawionym przy łóżku koszu znajdują się brudne ręczniki, a z kosza na śmieci wystają pieluchomajtkami dla dorosłych.

– Wszystko w porządku – powtarza starzec. Wolną dłonią przeczesuje włosy, a potem przeciera oczy. – Ona umiera. Tutaj. To tutaj chce umrzeć.

– Jak długo jest chora? – pyta Tony, zbliżając się do łóżka.

Starzec podąża za nim wzrokiem, poruszając bezgłośnie ustami, jakby liczył.

– Nie wiem – mówi. – Straciłem rachubę. Ile to już dni, Leah?

Kobieta w łóżku najwyraźniej nie ma zamiaru odpowiadać. Jej chrapliwy oddech zatrzymuje się na chwilę, jakby słuchała, czekała. Po chwili znów zaczyna ciężko oddychać.

– Proszę pana – mówi Tony. – Czy posiada pan testament życia żony? Czy pańska żona spisała swoje życzenia dotyczące woli pacjenta?

Twarz starca się rozjaśnia. Po raz pierwszy jego oczy wydają się być skupione.

– Tak. Tak, to jest to. Jak mogłem o tym zapomnieć? Spisała coś takiego. Oboje to podpisaliśmy.

Słyszając to, Tony czuje gorącą jak słońce ulgę. Może ta kobieta nie została uderzona, a potem pozostawiona sama sobie. Może ma raka lub jakąś inną nieuleczalną chorobę. Jeśli spisała swoje życzenia dotyczące woli pacjenta, to ten zagubiony, stary człowiek jest dokładnie tym, na kogo wygląda, czyli kochającym mężem czuwającym przy żonie w jej ostatnich godzinach życia.

Niestety ulga zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

– Nie wiem, gdzie to schowała – bełkocze starzec. – Powiedziała mi. Nie pamiętam. Szukałem i szukałem...

– Może coś jest na drzwiach lodówki – stwierdza Cara, znikając w korytarzu. Lodówka to powszechne miejsce do zostawiania przez ludzi różnych informacji, nawet testamentu życia. Tony zdążył już rzucić na nią okiem, kiedy przechodził wcześniej przez dom: magnesy na lodówkę, zdjęcia. Nic, co wyglądałoby na testament.

Po chwili słychać dźwięk syren, który nieco uspokaja Tony'ego. To gliniarze.

Nigdy nie zapomni dnia, w którym pomagał reanimować kobietę, aby potem odkryć, że jest pacjentką hospicjum umierającą na raka. Jeśli nie uda się odnaleźć testamentu życia Leah, policjanci pomogą zdecydować, co należy z nią zrobić.

– Szukałem. – Starszy mężczyzna zaczyna drżeć. – Zajrzałem wszędzie, gdzie tylko się da. I nic.

– Czy jest ktoś, do kogo moglibyśmy zadzwonić? Może pańska córka? Maisey, prawda?

Tony powoli podnosi rękę, tak żeby nie szturchnąć staruszką, po czym kładzie ją na czole kobiety. Jej skóra jest sucha oraz rozpalona od gorączki.

– Nie dotykaj jej. Nie powinieneś jej dotykać. To nie jest przewidziane w planie.

– Nigdzie jej nie zabieram – uspokaja Tony. – Sprawdzam tylko. – Wsuwa dłoń pod tył głowy kobiety, znajduje obrzęk, skaleczenie, posklejane od krwi włosy. – Jak się pan nazywa?

– Walter Addington.

– Panie Walterze, pani Leah jest poważnie chora. Musi nam pan pozwolić zabrać ją do szpitala...

– Żadnego testamentu. Tylko numer telefonu córki. – Przerywa mu głos Cary.

Ciężkie kroki sygnalizują przybycie policjanta. Na widok Mendeza stojącego w progu, Tony czuje ulgę. Mendez to dobry gliniarz.

– Co my tutaj mamy?

– Odwodnienie, rana głowy. Nie byliśmy w stanie tego ocenić dokładniej. Pan Addington twierdzi, że jego żona spisała testament życia i chce umrzeć w domu.

Tony obserwuje, jak policjant próbuje złożyć te informacje w jedną całość. Starzec, nieogolony i zagubiony. Nieprzytomna kobieta w łóżku. Brudne, śmierdzące ręczniki w koszu. Szklanka wody z łyżeczką na nocnym stoliku.

– Co się stało, panie Addington? W kuchni jest krew. I na pańskim ubraniu również. Jest zaschnięta, być może nawet sprzed kilku dni. Czy może pan to wyjaśnić?

– Upadła – tłumaczy Walter. – Uderzyła się w głowę. Przywiodłem ją tutaj, żeby odpoczęła, ale nie chce się obudzić. – Bardzo delikatnie potrząsa ramieniem żony. – Leah, obudź się. Powiedz im.

– Wystarczy już tego – oświadcza funkcjonariusz. – Zabierzcie ją do szpitala. Panie Addington, pójdzie pan ze mną.

– Nie! – protestuje. – Nie możecie tego zrobić. Ona nie chce nigdzie jechać. – Pochyliła się nad łóżkiem, zasłaniając ciało żony. – Obiecałem.

Na myśl o całej tej pogmatwanej sprawie Tony czuje mdłości. Może powinien znaleźć inną pracę? Taką, która pozwoli mu spokojnie żyć i nie wpadać w rozpacz.

– Zapraszam do radiowozu, panie Addington – kontynuuje Mendez najwyraźniej nieporuszony. – Niech pan tego nie utrudnia.

Starzec opiera się, ale policjant chwyta go za ramię z taką ła-twością, jakby był dzieckiem.

– Jeśli będę musiał pana aresztować, to nie będzie pan mógł odwiedzić żony w szpitalu.

– Nie mogę... Nie możesz... – Walter stawia opór, ale w pewnym momencie w końcu odpuszcza. Mendez wypycha go z pokoju.

Tony z Carą biorą się w garść, jak na zsynchronizowaną drużynę przystało. EKG. Ciśnienie krwi. Cara podłącza kroplówkę, co nie jest łatwe, biorąc pod uwagę stan pacjentki. Po kilku minutach kładą kobietę na nosze, po czym zabierają ją do karetki. Walter, widząc to, krzyczy:

– Niech pan mnie wysłucha! Nie chciała tego! Nie chciałaby tego! Proszę, musi mnie pan wysłuchać...

Te słowa, ta desperacja w głosie starszego mężczyzny wpełzają pod skórę Tony'ego – coś za paskudny, okropny i zakręcony bałagan. Jedynym pocieszeniem jest fakt, że wyszedł już z tego

domu. Odwiezie Leah Addington do szpitala, a potem odejdzie. Chociaż niepokój oraz jego własne traumatyczne wspomnienia i tak nie dadzą mu spokoju.

Kiedy jego szef dzwoni z zapytaniem, czy może pracować kolejną zmianę, Tony jest szczęśliwy, że może zgłosić się na ochotnika. Wszystko jest lepsze od koszmarów, które czekają na niego, jeśli spróbuje zasnąć dzisiejszej nocy.